



Ania i Michał:
– Zdjęcie synka
w małej ramce
mamy zawsze
przy sobie.
Posyłamy mu
buziaki. I wierzymy,
że jest szczęśliwy
po swojej stronie
tęczy

Krzysiowa lekcja jest prosta: kochaj bezwarunkowo. Ale dziś. Nie jutro

Na zewnątrz zimno i buro, a u ANI I MICHAŁA ciasto i śmiech. Anielka przeciąga się i patrzy na zdjęcie brata. A on patrzy na nią. Z nieba

TEKST *Majka Lisińska-Kozioł*



„Rycerzyk” Anna Ługowska-Tabaj, Michał Tabaj
Kupując tę książkę, wspomagasz dzieci z Hospicjum Domowego Alma Spei. Zainteresowanych kupnem prosimy o kontakt pod adresem: hospicjum@almaspei.pl

Mieli po 26 lat, gdy okazało się, że urodzi im się synuś. Tyle że od początku ciąży nie wszystko szło jak po maśle. A to Ania więcej leżała, niż mogła chodzić, a to w obrazie z USG lekarz dopatrywał się nie tego, co chciał. Niepokój coraz częściej zakradał się do serc przyszłych rodziców. – Po porodzie ledwie zdążyłam zobaczyć Krzysia, a już zabrano go na oddział wcześniaków – opowiada Ania. – Lekarze obiecywali, że za tydzień wypiszą nas do domu. Nie wypisali. Za to dzień po dniu dowiadaliśmy się, co jeszcze i jeszcze zepsuło się w Krzysiu.

Wykryto wadę serduszka, torbiele w nerkach, kłopoty w główce. Krzys był podłączony do respiratora, karmiony przez sondę, pod ręką stale musiał być odsysany i tlen. No i zadomowił się w szpitalu przy Kopernika na całe 90 dni. Aż przepiewiono go do Prokocimia. – Może tam wyczarują mu zdrowie – marzyli rodzice. I choć Krzys walczył nie przez kolejnych pięć miesięcy jak waleczny rycerz, częściej tracił, niż zyskiwał energię. Lekarze już wiedzieli, że wad w jego ciałku jest bez liku. Wciąż jednak nie umieli nazwać choroby.

Rodzice zrozumieli, że ich dziecko zdrowe już nie będzie, i tym bardziej chcieli wziąć synka do domu. Nauczyli się zakładać sondę, poznali obsługę ssaka, wiedzieli, jak podłączać tlen. Dzień w dzień powtarzali: „Synku, chodź z nami do domku”. Po ośmiu miesiącach spędzonych na oddziałach intensywnej terapii mały, chory chłopiec zamieszkał u siebie. – Wtedy poczuliśmy się rodziną. Wreszcie było normalnie. No, w miarę normalnie – opowiadają. – Po rozpaczy przyszło ukojenie. Synka tule-

nie, jego karmienie, nasze niedziele, wspólne poranki. Jeździliśmy na spacerach we czwórce; my i jeszcze butla z tlenem. Zapraszaliśmy znajomych, co miesiąc wyprawialiśmy Krzysowi urodziny. Był z nami na Dzień Matki i na Dzień Ojca. Dostał maskotkę na swój pierwszy – i ostatni – Dzień Dziecka.

Apotem przyplątała się kolejna sepsa. Nie raz już tak było, więc rodzice liczyli, że Rycerzyk i tym razem powalczą. – Staraliśmy się, ale powoli osaczała nas natrętna myśl, że trzeba się będzie pożegnać. Cierpiał, a my nie mogliśmy mu pomóc. Któregoś dnia szepnęłam więc synkowi do uszka: „Ty decyduj; zostań tu jeszcze na trochę, jeśli chcesz, albo bądź naszym aniołkiem”. 5 czerwca o trzeciej w nocy zadzwonił telefon. Głośno – choć był przyciszony. Ania i Michał pojechali do Prokocimia. – Krzys miał pogodną, spokojną twarzyczkę. I to była dla nas jakaś pociecha. Wiedzieliśmy przecież, z jakim bagażem odchodził.

Dziś są pewni, że Krzys nauczył ich żyć na sto procent. I pośród łez dostrzegają uśmiech. Chcieli tą lekcją podzielić się z innymi. Przez trzy lata pisali blog, żeby zdjąć martyrologię z rodzin obdarowanych dzieckiem nie do końca zdrowym. Udowodnić, że trudniej nie musi znaczyć gorzej. – Bo radość również była w naszym życiu. Los dał przecież naszej rodzinie trzy dobre miesiące. Mogliśmy brać synka na ręce, kapać go i wycierać. Lubiliśmy patrzeć, jak Michał siadał z Krzysiem w fotelu; mały chłopak drzemał, a duży czytał mu bajki – opowiada Ania.

Pisali blog także po to, żeby ośmielić bliźszych i dalszych znajomych, którzy wobec nieśczęścia, jakie na nich spadło, nie wiedzieli, co powiedzieć. Jedni milczeli, inni rzucali zdaw-

kowe; trzymajcie się, jeszcze pobiega. To bolało, bo wiedzieli, że synek nie wyzdrowieje i raczej nie dorosnie. Lekooporna padaczka atakowała go kilkaset razy na dobę. Lekarze przestrzegali, że Krzys boi się dotyku. – A ja kładłam sobie synka na brzuchu i głaskałam. Leciutko, leciusiętko. Odprężał się i po godzinie albo dwóch spokojnie zasypiał. W szpitalu może nie lubił dotyku. W domu się do nas przytulał. A my dawaliśmy mu chwilę, która właśnie trwała, i dzień, i spokojną noc. Bo czas z Krzysiem w domu był dobry. Nigdy wcześniej zwykłe śniadanie nie było tak odświeżające, a rodzinna niedziela tak zapamiętana w najmniejszym szczególe... Nigdy wcześniej nie było takiej wiary w niemożliwe. Nigdy wcześniej nie było takiej wdzięczności za każde szczęśliwe „wczoraj” i подарowane „jutro”. A przede wszystkim nigdy wcześniej nie było takiego entuzjazmu, zaangażowania w „dzis” – pisali na blogu Tabajowie. I żyli tak, jakby jutra miało nie być.

Wciąż celebrowali chwile. Michał pracował dziś w domu, bo chciał zobaczyć, jak mała Anielcia zje pierwszą w życiu marchewkę. A gdy na wsi spadł śnieg, wyszedł do ogrodu i tuż przed oknami ulepił swojej córki bałwanka; na powitanie zimy. – Każdy dzień wzbogaca kolekcję naszych wspomnień. Bezennych przecież – mówią. – Jak życie. Także to z Krzysiem; on nie jadł marchewki, ale miał inne sukcesy; w domu radził sobie bez respiratora i wytrzymał podczas kąpieli bez tlenu.

Po odejściu synka żaloby w potoczny jej rozumieniu chyba nie przeżyli. Bo jak powiedział im ksiądz Lucjan Szczepaniak, kapłan ze szpitala w Prokocimiu, już w dniu narodzin dziecka rozstali się ze swoimi wyobrażeniami o beztróskim dzieciństwie Krzysia i swoimi ra-

dosnym rodzicielstwie. I już wtedy wiedzieli, że synek będzie z nimi krócej, niżby chcieli. Gdy więc ostatni raz pożegnali Krzysia, pojechali w Bieszczady. Spacerowali, płakali, wspominali. I rysowali grafy swojego przyszłego życia. – Pamiętam pierwsze słowa Michała po odejściu Krzysia. Powiedział, że on jest ciągle naszym synkiem, tylko w niewidzialnej postaci. Jest naszym aniołem. Od tamtej pory czujemy jego delikatną opiekę.

Czas mijał, ich dom z każdym dniem wydawał się coraz bardziej cichy i pusty, a aktywna codzienność coraz bardziej bezcelowa. Chcieli znów być rodzicami. – Po doświadczeniu z wyjątkowym Krzysiem pragnęliśmy, aby nasze kolejne dziecko było absolutnie zwyczajne: zdrowe, szczęśliwe, beztróskie... Jak miliony innych dzieci! I mamy je. Jest dziewczynką. Sliczną. Uśmiechniętą. Ma na imię Anielka – mówi Ania. – Wciąż nie możemy uwierzyć, że to się dzieje naprawdę... Że jeździmy na wycieczki, chodzimy na spacerki, kąpiemy, przytulamy, śpiewamy kołysanki, patrzymy w czarne szczęśliwe i zdrowe oczka – koraliki. I tylko jedno nie zmieniło się od Krzysiowych czasów: każdy dzień traktujemy jak prezent i wiemy, że dołożył się do niego nasz synek – aniołek.

Ania mówi, a Anielka słucha i patrzy na świat spod długich rzęs, wesoło majtając nóżkami. Wtula się w mamę albo przeży zachwycona na rękach taty. Bezpieczna, szczęśliwa. Ma swoje domowe łóżeczko w sypialni rodziców. Tuż obok wielkiej ściany Krzysia. Są na niej jego zdjęcia; a to w wózecku, a to w ręczniku z pomarańczowym paskiem zaraz po kąpieli. A to na materacyku w grochy, a to przed śniadaniem, a to po obiedzie... Dzień po dniu poznaje starszego brata. Bo Krzys to wartość dodana rodziny Tabajów. Był z nimi krótko, nie powiedział ani jednego słowa, ale przekazał im bardzo dużo. – Lepiej siebie poznaliśmy – mówi. I dbają, by coś z tego ich życia zostało.

Dwa lata temu wydali książkę pt. „Rycerzyk”. Piszą tam o swoim życiu z Krzysiem, a dochód z jej sprzedaży przekazali na rzecz chorych dzieci z hospicjum domowego Alma Spei. Przed zeszłorocznym Bożym Narodzeniem oddali na aukcję albumowe wydanie tej książki i zebrali kolejne pieniądze dla potrzebujących dzieci. Prowadzili „Rycerzykową akcję pomocy”. – Bloga regularnie już nie pisujemy, ale jeszcze do niedawna byliśmy tam w każdy 21. dzień miesiąca, na pamiątkę urodzin naszego synka. Wybieraliśmy losowo malucha, który potrzebuje pomocy, i układałmy o nim wierszyk do rapowania. Bilet wstępu na nasz rapowy koncert kosztował 5 złotych dla rodziny. Podawaliśmy link do strony dziecka, a tam było jego subkonto i każdy kto, ma otwarte serce, mógł wpłacić pieniądze – opowiada Michał.

Inny pomysł wpadł Ani do głowy w czasie ciąży z Anielką. Któregoś dnia znalazła w Internecie przepis na skarpetkowe bałwanki. Tłumaczy: – Są naszym wkładem w weselsze święta dla chorych dzieci i ich rodzeństwa.

O bałwankach Ania czasami opowiada Anielce. A mała ciekawie patrzy na zimowe stworki. Jak dorosnie, też będzie miała otwarte serce. I będzie pamiętała o starszym bracie. Na razie jeździ w jego wózecku, nosi jego dzinsy, dostała amerykański cumelek, którego Krzys nie zdążył wypróbować. – Zdjęcie synka w małej ramce mamy zawsze przy sobie. Posyłamy mu buziaki. I wierzymy, że jest szczęśliwy po swojej stronie tęczy – uśmiecha się Michał. Tymczasem Anielka drzemie przytulona do mamy, a Krzys Rycerzyk przycupnął na okładce książki. Czym jest dla was ta niezwykła, osobista do bólu opowieść? – pytam rodziców Anieli i Krzysia. – Odrobieniem zadania z najważniejszej lekcji życia – mówią. – Obiecaliśmy synkowi przekazać ją dalej. Jej temat brzmi: „Kochaj bezwarunkowo i bezgranicznie. Dziś. Nie jutro”. ©